didaskalia
gazeta teatralna

Z numeru: **Didaskalia 161**
Data wydania: luty 2021
Źródło: https://didaskalia.pl/pl/artykul/przeczekiwanie-na-dobry-czas

/ zagranica

Przeczekiwanie na dobry czas

Jan Karow

Gob Squad

Show Me A Good Time

koncept i reżyseria: Gob Squad, wideo: Noam Gorbat, Miles Chalcraft, dźwięk: Sebastian Bark, Jeff McGrory, Catalina Fernandez, kostiumy: Emma Cattell, światła i opracowanie techniczne: Max Wegner, dramaturgia i produkcja: Christina Runge

premiera: 20 czerwca 2020 w HAU Hebbel am Ufer Berlin i La Jolla Playhouse

Kiedy wiosną trwał pierwszy lockdown, teatry w pierwszym odruchu sięgnęły do swoich archiwów. Repertuary przemieniły się w szeregi odnośników do portali YouTube, Vimeo, Facebook Watch itd. Niektórzy widzowie przypominali sobie spektakle, na których kiedyś byli, co wytrwalsi i bardziej zdeterminowani oglądali robocze zapisy przedstawień, których nie znali. Jak w wielu innych sprawach, początkowo nikt za bardzo nie wiedział, jak postępować. Wymuszone przejście w tryb on-line miało przynajmniej jeden plus – dostęp do zagranicznych teatrów stał się o wiele łatwiejszy, a jakość prezentowanych przez nie audiowizualnych materiałów nieco wyższa niż

polskich. Imponująco przedstawiała się chociażby codziennie aktualizowana oferta Schaubühne, gdzie sporo ważnych inscenizacji zostało zarejestrowanych we współpracy z niemieckimi telewizjami – tym sposobem można było chociaż zerknąć na legendarną *Oresteję* w reżyserii Petera Steina, *Bachantki* Klausa Michaela Grübera czy bliższe współczesności spektakle Thomasa Ostermeiera.

Wszystkie te nagrania pozbawione były jednak kluczowej dla teatru nażywości. Potrzeba było nieco czasu, aby pojawiły się pierwsze propozycje dostosowane do szczególnych okoliczności, w jakich się znaleźliśmy – kiedy sceną stały się mniejsze i większe ekrany, a czwarta ściana nabrała grubości solidnego muru. Kiedy okazało się, że używanie (często ponad miarę) projekcji wideo wcale nie świadczy o tym, że twórcy teatralni nadążają za technicznymi nowinkami i są przygotowani na pracę w trybie zdalnym. Zresztą pierwsze projekty przygotowane do sieci były w przeważające mierze rejestracjami, a ich kształt nie wykraczał poza wariacje na temat spotkania w programie Zoom. Na takim nienowoczesno-archiwalnym tle jedną z nowatorskich inicjatyw było *Show Me A Good Time* grupy Gob Squad. Członkowie brytyjsko-niemieckiego kolektywu, od lat sprawdzający możliwości nowych mediów (Tecklenburg, 2013), przygotowali w berlińskim Hebbel am Ufer dwunastogodzinne (sic!) wydarzenie online. Nie widziałem wersji, która odbyła się w czasie rzeczywistym w czerwcu i po której pozostało parę zdjęć i kilkanaście entuzjastycznych zdań recenzentki *The Guardian* (Wyver, 2020), okazało się jednak, że wirtualna działalność teatrów pozostaje z nami dłużej, niż można było się spodziewać. Po niewielkim okienku na przełomie lata i jesieni, w którym teatry nieśmiało zapraszały na prawdziwą widownię, uderzyła druga fala epidemii. Trzeba było ponownie się zdystansować i HAU zdecydował się na swego rodzaju wznowienie i ponowne wypełnienie łączy internetowych teatrem. Artyści z Gob Squad

zrezygnowali z liczącego pół doby dystansu i zaplanowali w nowej wersji na trzy kolejne listopadowe dni trzygodzinne odcinki *live stream performance*, jak go określili. Ostatecznie trwało to trochę krócej niż zapowiadano – już na starcie nie obyło się bowiem bez problemów technicznych.

Show Me A Good Time miało formę transmisji na żywo na Vimeo. Widzowie, którzy punktualnie wpisali uzyskane z biletami kody dostępu, musieli uzbroić się w cierpliwość – kompulsywne odświeżanie strony www nie przynosiło efektu. Przez trzydzieści osiem minut trwały prace nad uruchomieniem przekazu, a na platformach społecznościowych pojawiały się kolejne komunikaty o trudnościach. Kiedy problemy rozwiązano, pośrodku obrazu w dużym zbliżeniu zobaczyliśmy Seana Pattena (brzegi kadru wypełniała schematyczna mapa świata w stylistyce à la Matrix). Był na scenie sam, a w tle widać było pustą widownię teatru HAU, gdzie fotele, których akurat nie wymontowano, ukryto w biało-czarnych pokrowcach, i gdzie rozwieszono duży transparent z tytułowym sloganem.

To osamotnienie performera było jedną z tych rzeczy, która w *Show Me…* szczególnie zwracała uwagę. Kolektyw rozbił się na pojedynczych twórców. W kolejnych odcinkach miejsce Seana w teatrze przejęli inni artyści – Tatiana Saphir i Bastian Trost. Korzystali z tego, co mieli pod ręką i co wydobyli wcześniej z magazynów – z kostiumów: od naiwnych, pluszowych przebrań zwierzęcych po eleganckie stylizacje. Nie wytwarzali w ten sposób żadnej iluzji rzeczywistości czy fikcyjnych postaci, ale podkreślali swoją osobność w opustoszałym teatrze, jeszcze bardziej oddalonym od codzienności niż zwykle. Byli szczególnego rodzaju wodzirejami. Samotność wywoływała w nich chwilami nastrój melancholijny, ale ewidentnie starali się wygenerować pozytywny przekaz. Zwracali się bezpośrednio do nas, podkreślając często poczucie, że w pewnym sensie są nie na miejscu – teatry

(w znaczeniu instytucji) zamknięto i różne spektakle (rozumiane jako zjawiska społeczne) toczą się gdzie indziej. Właściwie Seana, Tatianę i Bastiana – także dlatego, że w przeciwieństwie do zawodowych wodzirejów nie mieli w zanadrzu żadnych popisowych numerów czy widowiskowych zdolności, a ich tańce miały więcej z wygłupów niż układów choreograficznych – lepiej byłoby chyba określić jako organizatorów czasu. Bo chociaż była w działaniach członków Gob Squad duża doza spontaniczności (poza budynkiem teatru nawet pełnej improwizacji), to została ona wkomponowana w precyzyjnie zakreślone ramy czasowe – w *Show Me…* podstawową miarą był kwadrans. Jak mówili sami artyści: „All we have left is now" i ze wspomnianym „teraz" postanowili się zmierzyć, co podkreślano wyświetlaną u dołu ekranu aktualną godziną z dokładnością co do sekundy. Wykonawcy zapowiadali, co się jeszcze wydarzy, przypominali, co już było, ale przede wszystkim starali się być intensywnie w danym momencie. Mieli świadomość ograniczonej interakcji – w teatrze widzów zastępowało im oko zautomatyzowanej kamery, która samodzielnie śledziła ich ruchy, podczas gdy z pozostałymi wykonawcami łączyli się za pomocą wideoczatu. Bo poza samotnym performerem na teatralnej scenie, w każdym odcinku przedstawienia uczestniczyło jeszcze troje wyposażonych w kamery wykonawców.

Simon Will przemierzał Berlin, niemal cały czas idąc do tyłu („I am going backwards into the future"), i w ten sposób udało mu się między innymi odwiedzić opustoszałe lotnisko i przejechać, zdezynfekowawszy fragment peronu i automat biletowy, kilka stacji kolejką miejską. W swojej podróży kilkakrotnie zagajał napotkanych przechodniów i nieprzewidywalność tych spotkań ożywiała atmosferę. Trafiła mu się grupa nastolatków influencerów, robiąca na jednym z placów zdjęcia tancerka, która z pokerowym wyrazem twarzy obserwowała niby-amatorskie przedsięwzięcie, przesiadująca na

ławce para, która spytana o doświadczenia teatralne, nabrała wody w usta, i młody filmowiec imigrant, popijający wieczorem piwo z przyjaciółmi. Sarah Thom również krążyła po stolicy Niemiec, tyle że w furgonetce i z przywiezioną z Wysp Brytyjskich urną z prochami zmarłej mamy. Starała się znaleźć charakterystyczne i jednocześnie mało znane miejsca, których widok (także poprzez „niepoprawne" kadrowanie) oddawałby różne aspekty nietypowej codzienności. Tatiana, nim pojawiła się drugiego dnia na scenie, najpierw spędziła wieczór z przybyłą z Buenos Aires mamą, która przebranżowiła się na fryzjerkę. Z mamą siedziała również Laura Tonke – urządziły sobie słodko-gorzką imprezę z okazji niezdobycia przez Laury nagrody aktorskiej. Było wino, były papierowe czapeczki, była też drzemka. W ostatnim odcinku pojawiła się Sharon Smith. Jako jedyna była daleko poza Berlinem, w odosobnionym domu, z dwójką pełnych energii dzieci, z którymi gotowała w kuchni, i z osobnym poczuciem czarnego humoru. Po sporej ilości wina, na lekkim rauszu, zaklinała rzeczywistość w chaotycznym tańcu dookoła ogniska.

Toczące się równoległe wątki – samotnego artysty zamkniętego w teatrze bądź w domu oraz dryfujących przez puste ulice performerów-turystów – zbiegały się w ściśle wyznaczonych momentach. Jeśli akurat trwało jakieś działanie, zwiedzanie jakiejś lokacji czy dialog, bezceremonialnie je urywano. Szczególnie wyróżniano początek kolejnej pełnej godziny – na ekranie pojawiał się numer telefonu, pod który można było zadzwonić, porozmawiać chwilę z jednym z performerów, ale przede wszystkim zatytułować zakończoną przed chwilą godzinę. Należy oddać, że osoby mówiące o „śnie nocy pandemicznej", „godzinie dotyku" czy „godzinie cierpliwości" trafnie dotykały tych kwestii, które przez ostatnie tygodnie przestały być czymś przezroczystym i błahym, jednocześnie dobrze wyczuwając budowany przez Gob Sqaud nastrój, w którym ważniejsze jest zauważenie absurdalności dnia

codziennego aniżeli utyskiwanie na ograniczenia. Podobną moc miały propozycje artystów-organizatorów czasu, by wspólnie skupić się na oddechu albo wczuć w bicie serca przez sześćdziesiąt sekund czy, powracające jak refren w połowie godziny, dwie minuty śmiechu. Niby absurdalny pomysł, by w jakiejś przedziwnej, teoretycznej wspólnocie spróbować się rozluźnić i śmiać się z… czterema osobami na ekranie i innymi widzami, a jednak było w tym coś rozluźniającego. Uzmysławiało też, jak dużo to czasu i jak wiele wymaga wysiłku, by w tym wytrwać do końca. Ale jeśli można ćwiczyć czy gotować z internetowym filmikiem, to czemu nie spróbować po amatorsku performować?

Oczywiście skuteczności wszystkich tych sposobów na wywołanie wrażenia, że robiliśmy coś razem, nie da się zweryfikować. W końcu nawet tak podstawowa sprawa, jak zajmujące Gob Squad „teraz", było czymś innym zarówno dla każdego z członków kolektywu, jak i widzów – w najbardziej nawet profesjonalną transmisję wpisane jest pewne przesunięcie, zwane czasem lagiem. Jak stwierdziła Tatiana: „My now and your now is different". Jak nowa normalność, tak nowa wspólnota wydaje się wyzwaniem. Brytyjsko-niemiecka grupa podjęła je z pełnym zaangażowaniem i udało im się uzyskać więcej, niż – po tygodniach obserwowania teatru w Internecie – się spodziewałem. Podskórnie czułem, jak wiele przygotowań i wysiłku kosztowało ich to, bym przynajmniej chwilami odnosił wrażenie, że chociaż widziałem pusty teatr HAU, to na swój sposób tam byłem. Ta ciężka praca nad zastanymi okolicznościami, wolna od narzekań czy nieudolnych prób ich zmiany, zdała mi się wartością rzadko spotykaną. Znalezienie rzeczywiście dobrego czasu jeszcze nie mogło się udać, ale takie poszukiwanie nażywości pomaga odnaleźć w sobie kolejne pokłady wytrwałości przed powrotem ze skierowanej na ekran kanapy, łóżka, krzesła, podłogi na teatralny fotel.

Autor/ka

Jan Karow

Jan Karow - krytyk teatralny, kulturoznawca. Pracuje w Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie. Był członkiem Komisji Artystycznej 26. Ogólnopolskiego Konkursu na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej.

Bibliografia

Tecklenburg, Nina, *Zaczarowana rzeczywistość, zapośredniczony kontakt. Historia Gob Squad*, „Didaskalia" 2013 nr 115/116.

Wyver, Kate, *Show Me a Good Time review – an extraordinary 12-hour theatre marathon*, https://www.theguardian.com/stage/2020/jun/22/show-me-a-good-time-review-hau-berlin-gob-squad, [dostęp: 20 XII 2020].

Źródło: *https://didaskalia.pl/artykul/przeczekiwanie-na-dobry-czas*